

**Corinne Bailey Rae**  
**The Sea**

EMI Records 2010

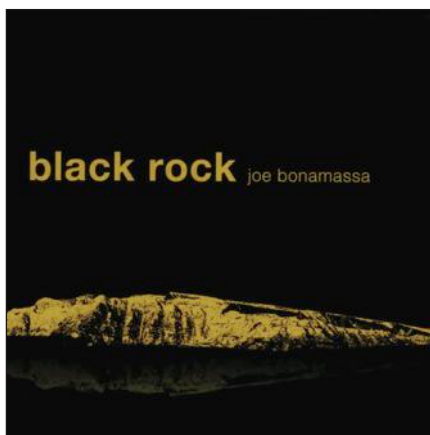
Muzyka: ●●●●●●  
Realizacja: ●●●●○

Doczekaliśmy się znakomitej płyty w kobiecym wykonaniu. Gdyby ocena za muzykę mogła być wyższa, nie zawahałby się takiej postawić.

Ten album to balsam dla uszu. Nie tylko dlatego, że wokalistka ma melodyjny, delikatny głos o soulowym zabarwieniu. I nie wyłącznie z powodu ciekawych pomysłów aranżacyjnych. Ba, nawet nie ze względu na udane kompozycje czy też na to, że Corinne Bailey Rae gra z polotem na gitarach, instrumentach klawiszowych i perkusji. Bo wspomniane elementy są tylko podstawą, aby uzyskać produkt dobry. Żeby był wyjątkowy, trzeba dołożyć trochę magii, a tej nagraniom z „The Sea” nie brakuje.

Mamy tu melodie, których od razu słucha się z przyjemnością, a połączenie wokalu z podkładem jest rewelacyjne. Niech nikogo nie zmyli prosty gitarowy wstęp do otwierającego „Are You Here”, bo kiedy pojawia się głos bohaterki płyty, muzyka od razu nabiera rumieńców. „I Do It All Again” to materiał na światowy przebój. Od tej piosenki trudno się oderwać. Podobnie z „Feels Like The First Time”. Najpierw świetna przegrzywka, a potem muzyczna machina rusza w bajkową krainę, pełną aranżacyjnych niespodzianek i wciągających melodii. Nie inaczej czaruje „Closer”. A jeśli kogoś nie porwie „I Would Like To Call It Beauty”, to albo w ogóle nie ma nastroju na słuchanie, albo nie potrafi docenić pięknej muzyki. ■

Grzegorz Walenda



**Joe Bonamassa**  
**Black Rock**

J&R Adventures 2010

Muzyka: ●●●●●●  
Realizacja: ●●●●○

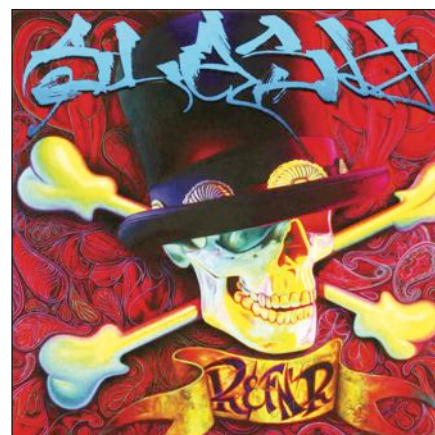
Amerykański bluesman nie bez powodu uchodzi za jednego z najlepszych gitarzystów młodego pokolenia. Nie przypadkiem jest porównywany do takich mistrzów gatunku, jak Stevie Ray Vaughan czy Kenny Wayne Shepherd. On sam uwielbia Johna Mayalla i grupę Cream, a płytę „Goodbye” zalicza do swoich ulubionych.

„Black Rock” to nazwa studia na greckiej wyspie Santorini. Właśnie tam odbywały się sesje. Miejsce realizacji nagrań – odległe od Nowego Jorku, gdzie muzyk mieszka – to nie jedyna niespodzianka związana z płytą. Drugą jest udział B.B. Kinga, śpiewającego i grającego na gitarze w utworze „Night Life”. Poza tym nagraniem głos wiodący przez cały czas należy do lidera. Bonamassa doskonale sobie radzi z gitarami, a do tego świetnie śpiewa. Polecam zwłaszcza „Quarryman’s Lament”, chociaż i w innych utworach potrafi wspiąć się na wyżyny piosenkarskiego kunsztu. Czasami przypomina Alvina Lee.

Program zaczyna się ostrym riffem w „Steal Your Heart Away”, a potem pięć stopniowo rośnie. Artyście towarzyszą świetni sidemani: Carmine Rojas (bas), Rick Melick (klawisze) i Bogie Bowles (perkusja) - instrumentalści może nie z czołówki, ale grają po mistrzowsku. Bonamassa nie tylko nadaje ton, ale trzyma w cuglach całą tę muzyczną machinę.

Stara bluesowa kadra, z B.B. Kingiem i Claptonem na czele, może spokojnie myśleć o emeryturze. W osobie Joego Bonamassy mają godnego następcę. ■

Grzegorz Walenda



**Slash**  
**Slash**

Dik Hayd Records 2010

Muzyka: ●●●●○  
Realizacja: ●●●●○

Slash - któż nie zna tego pseudonimu? Posługuje się nim Saul Hudson – gitarzysta, który zasłynął współpracą z grupą Guns N’ Roses.

Kiedy już każdy z muzyków tej formacji poszedł w swoją stronę, Slash udzielał się m.in. na płytach Michaela Jacksona i Lenny’ego Kravitz. Później grał w zespołach Velvet Revolver i Snakepit, by wreszcie wydać pierwszy album solowy.

Zawiera on repertuar godny gwiazdorskim składem. Największą legendą jest Ozzy Osbourne – posiadacz bodaj najsłynniejszego głosu w ciężkim rocku. Jako frontman Black Sabbath hipnotyzował słuchaczy mrocznymi rytmemi, ale bywało, że uderzał także w liryczną nutę, czego przykładem ballada „Changes”. Na płycie Slasha wokalista wykonał jeden ze spokojniejszych utworów. „Crucify The Dead” należy do ciekawszych fragmentów albumu. Wśród pozostałych nagrań też nie brakuje mocnych akcentów.

Płyta Slasha to wulkan w chwili erupcji. Oprócz byłego członka Black Sabbath gitarzyście towarzyszą takie gwiazdy, jak Myles Kennedy, Chris Cornell i Kid Rock. Na ogół wspólnie z liderem napisali śpiewane przez siebie utwory. Pojawia się nawet Iggy Pop, zamykający album piosenką „We’re All Gonna Die”, która już stała się przebojem. Wprawdzie tytuł nie napawa optymizmem, ale wokół Popa i gitarowe solówki Slasha są pełne optymistycznej energii. ■

Grzegorz Walenda